

## PLACÓWKA W BRZEŚCIU

W roku 1986 otrzymałem od Ministra Komunikacji zgodę na zorganizowanie (na wniosek i koszt mojej firmy) przedstawicielstwa w Brześciu nad Bugiem i szefowania mu przez 4 lata, tj. do czasu przejścia na emeryturę. Propozycję przyjąłem z satysfakcją- praca na placówce zagranicznej była w tamtych czasach pracą atrakcyjną. Moja praca w Brześciu była ciągle przedłużana i zamiast 4 pracowałem tam lat 11.

Ministerstwo Spraw Zagranicznego ZSRR zarejestrowało nas pod nazwą:  
Przedstawicielstwo Transportu Samochodowego  
Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej  
Filia w Brześciu

Nazwa Brześcia w języku rosyjskim to Brest (fonetycznie Brjest), po białorusku Berestie fonetycznie Bjeriestje- litera t jest wymawiana prawie jak ć. Białoruskiej nazwy miasta, jak i języka białoruskiego- ani w Brześciu, ani w całej Białorusi prawie nigdy przez 11 lat pracy nie słyszałem. W kraju liczącym 8 milionów mieszkańców- nawet prezydent mówi po rosyjsku. W roku 1991 po rozwiązaniu ZSRR próbowano w 300.000-nym wtedy Brześciu uruchomić szkołę z białoruskim językiem nauczania. Rodzice tak długo protestowali, aż z tego zrezygnowano. Jak mi tłumaczył pewien docent z Uniwersytetu Brzeskiego język białoruski to zlepek słów rusińskich i polskich, w którym nie ma wielkiego przekazu kultury, piśmiennictwa itp. Nie to, co język rosyjski- jeden z pięciu oficjalnych języków ONZ, przebogaty w najwyższej klasy literaturę, teatr i inne nośniki kultury.

Trzeba pamiętać, że dawna Ruś Biała i Czarna (witebska), od wieków posługiwała się językiem rusińskim. Rusyfikację przyśpieszyła wspólna wiara- prawosławie i to, że Białoruś ponad 200 lat, z wyjątkiem części, która w latach międzywojennych należała do Polski, była w Rosji i ZSRR, gdzie językiem państwowym był tak bliski język rosyjski

W Moskwie przy naszej ambasadzie mieliśmy przedstawiciela w randze dyplomatycznej: „Attache ds. Transportu”. Umówiliśmy się z nim, że teren mojego działania obejmuje: Litwę, Białoruś, zachodnią część Rosji aż za Smoleńsk, oraz całą Ukrainę od Bugu aż do Morza Czarnego.

Pokrywało się to ze znaczną częścią terytorium byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Co znaczyło w nazwie tego Księstwa słowo Wielkie? Obszar Wielkiego Księstwa Litewskiego był ogromny- kilkakrotnie większy niż Polska. Należące do Bałtów dzisiejsze tereny Litwy, Łotwy i Estonii stanowiły zaledwie 10% całości. Reszta 90% to dzisiejsza Białoruś i Ukraina, która przez kozackie „Dikije Pała” dochodziła do Morza Czarnego. Jako ciekawostkę można podać, że dawna stolica kozaków zaporoskich- Sicz to dzisiaj dwumilionowe miasto o nazwie Dnibr (Dniepr) a są podobno starania o powrót do nazwy Sicz. Jedną z jego najstarszych dzielnic nazywa się Kudak, nazwa znanej z Sienkiewiczowskiego „Ogniem i mieczem” twierdzy wybudowanej w roku 1635, zburzonej przez kozaków po 13 latach w roku 1648.

Prawie puste „Dzikie Pola” poddane przez Chmielnickiego carskiej Rosji zostały nakazem carskim zasiedlone przez Rosjan- z każdej wioski Wielkiego Księstwa Moskiewskiego jej właściciel musiał przesiedlić tam jedną chłopską rodzinę. Tak zasiedlone Dzikie Pola otrzymały nową nazwę- „Mała Rosja”.

Dzisiaj tereny te- należące prawnie do Ukrainy województwa: Donieckie, Ługańskie, oraz części Charkowskiego i Odeskiego stanowią kość niezgody pomiędzy Ukrainą i Rosją.

Do Wielkiego Księstwa Litewskiego należały także zachodnie tereny dzisiejszej Rosji- dość powiedzieć, że jego wschodnia granica biegła daleko za Smoleńskiem- zaledwie 130 km od Moskwy. Ze względu na to, że 90 % ludności Wielkiego Księstwa Litewskiego było prawosławnymi Rusinami- językiem oficjalnym Księstwa był język rusiński.



Polska i Wielkie Księstwo Litewskie w XV wieku. Warszawa i Ciechanów- to Mazowsze związane z Polską. Chełm, Bełz, Lwów i Halicz to Ruś Halicko-Włodzimierska- podbita przez Wielkie Księstwo Litewskie- przyłączona do Polski przez Kazimierza Wielkiego w drugiej połowie XIV wieku. Część ziem północnych Baltów i Polski opanowali Krzyżacy.

Jagiello po powołaniu go na króla Polski nie zrzekł się stanowiska Wielkiego Księcia Litewskiego i odtąd aż do ostatniego Jagiellona każdy Król Polski był automatycznie Wielkim Księciem Litewskim. W czasach królów wybieralnych, Polska przeforsowała w uchwale Unii Lubelskiej zasadę wspólnego wybierania przez szlachtę polską i litewską Króla Korony Polskiej będącego zarazem Wielkim Księciem Litewskim- powierzając mu równocześnie prowadzenie wspólnej polityki obronnej i zagranicznej. Wspólna polityka obronna przeniosła na barki Polski ciężar pomocy Księstwu Litewskiemu w wielowiekowych walkach z Rosją- wiadomo, jak to się skończyło.

W unii tej Polska i Litwa urzymały jednak główne atrybuty swoich niezależności poprzez:

- zachowanie własnych terytorium
- zachowanie przez każdą ze stron własnego skarbu

zachowanie odrębnego wojska polskiego i litewskiego dowodzonego przez Wielkich Hatmanów Koronnego i Litewskiego  
zachowanie odrębnych języków urzędowych  
zachowanie odrębnego sądownictwa i prawa sądowego.  
zakaz nadawanie królewskich przez króla w Księstwie Litewskim  
zachowanie w każdym z państw odrębnych urzędów i ich nazw  
zachowanie w każdym z państw wszystkich dotychczasowych praw i przywilejów obywateli.

Kontrowersje zaczęły się już w chwili podpisywania dokumentu Unii Lubelskiej. Możliwość litewscy nie akceptowali i nie podpisali formuły ściślejszego związku pomiędzy oboma państwami i opuścili Lublin jeszcze w czasie obrad sejmiku unijnego. Następnie zwołali swój zjazd do Wilna, na którym w marcu 1569 roku uchwalono projekt unii będącej jedynie sojuszem obronnym przed Rosją.

Polacy nie zdają sobie sprawy, że była to w zasadzie unia personalna- dwa państwa posiadały Króla i Wielkiego Księcia w jednej osobie. Dziwią się moi rodacy, że Adam Mickiewicz urodzony w Nowogródku (litewskie Gniezno) stolicy Mendoga, który w 1240 r. zjednoczył szereg małych plemion Bałtów w jedno państwo Litewskie pisze: „Litwo ojczyzna moja” a nie dziwią się, gdy Sienkiewicz Dzikie Pola, Czerkasy, Braclaw, Zbaraż itd. opisuje tak, jak gdyby była to Polska.

W latach uchwalania konstytucji 3-go maja, tuż przed nawałą Rosji i rozbiorami, chciano połączenia Polski z Wielkim Księstwem Litewskim. W wytworzonych wtedy dokumentach nazywano to „zaręczynami” tych państw- do ślubu zabrakło czasu- Rosja była szybsza.

\* \* \*

W czasie mojej pracy w Brześciu działał tam Uniwersytet i Wyższa Szkoła Pedagogiczna a także jak w całym ZSRR, dużo placówek kulturalnych- kina, teatry, muzea, wystawy, różnorakie święta z występami zespołów zawodowych i amatorskich itd.

Brześć to duży węzeł komunikacyjny z jednym z największych w ZSRR lotniskiem i dwoma przejściami drogowymi przez granicę polsko- białoruską łączące Rosję z Europą. Jedno to Terespol- Brest dla samochodów osobowych, a drugie dla samochodów ciężarowych Terespol- Brest Kazłowici. Brześć jest także przejściem kolejowym dla ruchu pasażerskiego w kierunku Moskwy. Pociągi mają tu dwugodzinny postój dla wymiany podwozia wagonów kolejowych z rozstawu europejskiego na szerszy wg norm rosyjskich.

Nasze przedstawicielstwo rozpoczęło pracę 1.12.1986 r. moim przyjazdem do Brześcia wraz z Janem Zaselem, pracownikiem Ministerstwa Komunikacji danym mi do pomocy. Pierwszy miesiąc „urzędowaliśmy” w hotelu- myślę, że miejscowe władze w „sposób specjalny” przygotowywały dla nas mieszkania. Poprzez firmę SOVINTERAVTOSERVIS, której zadaniem jest obsługa międzynarodowych przewoźników, otrzymaliśmy trzy mieszkania w nowym budownictwie, za które płaciliśmy tej firmie czynsz miesięczny w wysokości ponad 600 USD, a ona płaciła spółdzielni mieszkaniowej w rublach nie więcej niż równowartość 20 USD.

„Prypisano” nas do sklepu „za żółtymi firankami”, gdzie było w porównaniu ze sklepami w mieście lepsze zaopatrzenie- można tu było kupić nawet 100 gram kawioru raz na tydzień. Uzupełniał je dobrze zaopatrzony bazar i obecne w każdym miejscu pracy: urzędach, zakładach, szkołach, kołchozach itd. stołówki. Nas do swojej stołówki zaprosił tamtejszy przewoźnik międzynarodowy- SOVTRANSVTO, którego jedna z baz była niedaleko naszych mieszkań. Mogliśmy korzystać z „polikliniki”- coś w rodzaju przychodni lekarskiej z kilkoma łózkami szpitalnymi i dużego szpitala wojewódzkiego.

Sovinteravtoservis oprócz mieszkań dał nam do pomocy mieszkańca Brześcia, długoletniego tłumacza wojsk radzieckich w NRD, co niewątpliwie świadczyło o jego pracy „w służbach”. Oczywiście był na naszych i to wysokich poborach. Jego wygląd, nazwisko i wrodzony talent handlowy wskazywały na pochodzenie z jednej z przedwojennych mniejszości narodowej Polski. Był sympatyczny, bardzo uczynny i pomocny szczególnie w pierwszym okresie, kiedy ułatwiał nam nawiązywanie kontaktów i pilnował abyśmy nie popełnili jakiejś gafy. Chcąc mu dokuczyć prowokowaliśmy nieraz rozmowy, w których musiał się krytycznie wypowiadać o niektórych aspektach życia w ZSRR. Pocił się biedak, wycierał chusteczką, głupkowato się uśmiechał, ale nie odzywał się ani słowem, co niewątpliwie świadczyło o zainstalowanych podsłuchach. Po kilku miesiącach na moje prośby, aby go sobie zabrali, bo u nas nie ma już, co robić, otrzymywaliśmy niezmienną odpowiedź: niech wam gotuje herbatę. W końcu zwolniłem go „na raty”. Najpierw pracował 8 godz. dziennie, potem sześć, potem cztery, potem dwie, aż wreszcie udowodniliśmy, że sami potrafimy gotować herbatę. Spotkałem go na ulicy Brześcia po upadku ZSRR. Na pytanie, co robi odpowiedział: założyłem w Berlinie spółkę i oddelegowałem się do pracy w Brześciu. Spryciarz nieprzeciętny, ale zawsze sympatyczny.

Roboty było masę. Byliśmy jedyną zagraniczną placówką od Brześcia aż do Mińska. Trzeba było przede wszystkim budować stosunki: wśród władz, pograniczników, celników, pracowników telekomunikacji, nowego terminalu kontenerowego w Brześciu, milicji, drogowców wążących nasze pojazdy i nakładających opłaty za ewentualne przekroczenia dozwolonego nacisku na oś, pracowników banków i urzędu skarbowego- słowem wszędzie i u wszystkich. Traktowano nas „urzędowo” z wielką ostrożnością, nawet nieufnością, nie wiedząc, jak ich władze będą patrzyły na współpracę z nami- bądź, co bądź przyjechaliśmy z kraju ogarniętego „kontrrewolucyjnym buntem „Solidarności”.

Białorusini to przyjaźni, uczynni i dobrzy ludzie. Muszą się tylko przekonać, że się nie wywyższasz, nie traktujesz ich z góry, jak robi to niestety w sposób często nieprzyjemny, chamski, zdecydowana większość Polaków. Jeśli jesteś wobec nich przyjacielski pomogą i załatwią wszystko i wszędzie. W stosunku do nas byli mili i życzliwi, jednak na wszelki wypadek ostrożni w kontaktach osobistych. Zdawali sobie zapewne sprawę, że jesteśmy pod stałym nadzorem służb. Owszem bywałem zapraszany przez niektórych nawet na prywatne uroczystości np. urodziny, ale tylko wtedy, gdy odbywały się w publicznym lokalu i wyraźnie, jako dyrektora Przedstawicielstwa, z którym się współpracuje, a nie jak „pana Ramana Kaładiejczyka”.

Jedną z dużych trudności w początkowym okresie mojej pracy było ograniczenie dróg, jakimi mogłem się poruszać otrzymanym z Warszawy zdezelowanym Polonezem. Otrzymana od odpowiednich władz d/s cudzoziemców (jakaś komórka KGB) przepustka, pozwalała mi na poruszanie się po autostradzie Brześć- Mińsk- Moskwa, oraz drogach Brześć- Kowel- Łuck-

Równe-Kijów. Do Lwowa skręć aż z Równego, a nie krótszą trasą przez Łuck. Było to bezwzględnie przestrzegane przez ich „lotną”- GAI (Gosudarskaja Awtomobilnaja Inspekcja- Państwowa Inspekcja Samochodowa). Kiedyś nasz kierowca poszkodowany w wypadku drogowym został przewieziony do szpitala w Baranowiczach, gdzie zmarł. Pojechałem tam i pomimo tego, że pierwsze zabudowania Baranowicz leżą tuż przy autostradzie Brześć- Moskwa, nie zostałem tam wpuszczony, gdyż nie miałem przepustki do Baranowicz.

GAI, jak wszystkie jednostki policyjne w państwach totalitarnych, miała taką władzę i budziła taki strach, że miejscowi na wszystko, co mówił milicjant odpowiadali tylko: tak jest. Polak, który zaczynał dyskutować słyszał: przaprzak, jak się nie podoba to uciekaj do swojej Polski. Przaprzak- pogardliwa nazwa Polaka- słowo pochodzi od przaprzyczącej w uszach Rosjanina mowy polskiej- anglicy mówią: „goose language” gęsi język.

Najgorsze było ukaranie kierowcy mandatem, bowiem mandat trzeba było zapłacić w banku, po czym wrócić do milicjanta i okazać bankowy kwit. Oczywiście samochód zostawał w tym czasie na placówce milicyjnej. Dobrze, gdy działo się to mieście gdzie był bank. Ale jeżeli stało się to np. na 1.000 kilometrowej trasie autostrady Brześć— Moskwa, gdzie co kilkanaście kilometrów stała budka z 2—3 urzędującymi tam milicjantami, dostanie się do banku w najbliższym mieście przy braku jakiegokolwiek komunikacji publicznej metodą jazdy „na łebka” tam i powrót z kwitem było wielką dolegliwością.

Wpłaty w banku miały, wg władz, zapobiegać łapówkom, w rzeczywistości zmuszały kierowców do dawania łapówek zamiast jazdy do banku. Milicjanci z GAI byli nazywani nawet w gazetach „tryrublowcy”, brali trzy ruble- jest taki banknot w Rosji i Białorusi.

Powszechne łapówkarstwo to wielowiekowa tradycja przeniesiona z carskiej Rosji. Otóż za caratu wielkie grupy urzędników pochodzących zazwyczaj ze szlachty nie otrzymywały poborów- mieli wykonywać swoją pracę za darmo, jako obowiązek dla ukochanej „matuszki Rassyji”, a utrzymywać się z dochodów z własnych folwarków. W zdecydowanej większości na urzędników szła drobna szlachta bez znaczących majątków i utrzymywała się za wiedzą wszystkich z łapówek. Patrz „Rewizor” Gogola, gdzie pokazano szczegółowo metody ich brania w wysokości „wedle rangi”. Miałem charakterystyczne zdarzenia. W pewnym sklepie moskiewskim sprzedawczyni obiecała zatrzymać dla mnie, kiedy nadejdą, szerokokątny obiektyw do aparatu fotograficznego. Obiektyw był dla bardzo drogi- szczegółów już nie pamiętam. Przypuśćmy, że kosztował 45 rubli- dałem jej banknot 50 rublowy i otrzymałem z powrotem 2 ruble. Kiedy zapytałem znajomych, o co chodziło otrzymałem dowiedź: ranga sprzedawczyni to ranga 3 rublowa- gdyby była to kierownicza wzięłaby 5 rubli.

**W ten praktyczny sposób rozwiązano odwieczny, międzynarodowy dylemat- ile dać?**

Po kilku latach dostałem od polskiego Attache ds. Transportu w Moskwie VOLVO 740 z numerami dyplomatycznymi, którego używał uprzednio przedstawiciel naszej firmy w Hanowerze- poruszałem się teraz w zasadzie bez przeszkód. Po roku 1991, po upadku ZSRR i lawinowym narastaniu ruchu zagranicznych samochodów sytuacja radykalnie się zmieniła- nie potrzebne były już przepustki, za wyjątkiem licznych terenów specjalnych.

Zimą miałem kłopoty z moim VOLVO. Diesel ze znacznym przebiegiem i radzieckim paliwem sprawiał częste niespodzianki. Na całe szczęście zajezdnia

SOVTRANSVTO w Brześciu eksploatowała samochody marki VOLVO i z zamarzającymi filtrami paliwa nie było kłopotów. Dyrektor bazy Leonid Katulin pozwolił mi zimą wprowadzać samochód na noc do hali stacji obsługi.

Wyskakiwałem do Terespoła, aby zaopatrzyć się tam w olej napędowy, gdyż do radzieckiego, zwanego „solarka”, miałem uzasadnione podejrzenia o brud i spore ilości wody. Powstała śmieszna sytuacja- przygraniczni Polacy gromadnie jeździli do Brześcia zaopatrywać się w tanie paliwo, a ja odwrotnie.

Jako ciekawostkę można podać sposób tankowania paliwa w byłym ZSRR. Podchodziło się do okienka budynku stacji paliw i kupowało np. 50 litrów paliwa. Dostawało się wszechobecny w ZSRR „tańczik”. Z tym talonem podjeżdżało się pod dystrybutor, gdzie pracownik stacji nastawiał licznik i włączał dystrybutor. Bywało, że odbiorca źle obliczył ile mu się zmieści paliwa w baku i resztówka lała się na ziemię, aż do 50-cio litrowego skutku- przy głośnych wiązkach przekleństw pracowników stacji paliw.

„Tańczik” był wszędzie, doprowadzony do absurdu- najbardziej denerwował w sklepach, gdzie trzeba było wiedzieć, co się chce kupić, podejść do kasy, zapłacić, dostać „tańczik”- paragon, dać go sprzedawczyni za ladą, która wydawała zakupione rzeczy. Tak to ZSRR traktował swoich obywateli, wbrew szczytnej ideologii, jako potencjalnych złodziei- weźmie zakupy, ale kasę ominie.

Drugą denerwującą rzeczą był „piereriw”. Od godziny 12 do 13 cały ZSRR przerywał pracę, aby załogi mogły zjeść „abied”- ichni lunch. Poznałem to jeszcze przed pracą w Brześciu. Wybraliśmy się z kolegą dużymi Fiatami z naszymi żonami i każdy z dwójką dzieci, na urlop do Soczi. Noclegi mieliśmy wyznaczone w bardzo przyzwoitych domkach na ogrodzonych kampingach położonych od siebie o około 500 km. Po wyjechaniu z Warszawy pierwszy był we Lwowie a następne w Kijowie, Charkowie, Rostowie nad Donem, Golendziku i Soczi, które jak wiadomo ma 140 km długości. Nasz kamping znajdował się na końcu Soczi- tuż przy granicy z Gruzją.

Zmęczeni niesamowicie kilkudniową jazdą i sierpniowym upałem, klimatyzacji jeszcze w samochodach nie było, zajeżdżamy pod bramę motelu w Soczi- zamknięta. Po dłuższym dobijaniu się wychodzi jakiś cieć i ze złością mówi- piereriw. Zmiękczony trzyrubłówką wpuszcza nas do środka i oznajmia, że musimy poczekać, bo biuro jest zamknięte, gdyż jego pracownicy jedzą w stołówce „abied”. Zauważyłem budynek z napisem „Stołowaja”- stołówka. Idziemy, aby coś zjeść zamiast siedzieć w samochodach. Siadamy, podchodzi kelnerka i pyta „tańczik u was jest”? Pytam gdzie wydają? W biurze! Zacząłem głośno protestować i chciałem zapłacić gotówką. Kelnerka i cała sala patrzy na mnie z politowaniem- przyjechał jakieś debil, który nie wie, że do obiadu potrzebny jest talon otrzymany w biurze.

Będąc w Soczi wybraliśmy się m.in. nad słynne jezioro Rica w górach Kaukazu. Niesamowite widoki i wrażenia z jazdy nad przepaściami. Przy jeziorze stały dwie przyzwoite budy z napojami i barowymi zakąskami. Przy jednej tylko pojedynczy ludzie, przy drugiej „kolejka kilometrowa”. Podchodzimy do tej pustej i zamawiamy osiem szaszłyków. Bufetowa oparta łokciami o ladę patrzy na nas obcokrajowców z politowaniem i pyta: a tańczik u was jest- a gdzie dajut, pytam. Pokazuje drugą budę z kilometrową kolejką i mówi: tam

W pracy największą dla mnie trudnością był brak możliwości wjazdu na teren przejścia granicznego i dotarcia, w razie potrzeby do naszych kierowców, służb fitosanitarnych i celnych. Potrzeba takiego dotarcia była prawie każdego

dnia. Tu dopomógł mi szczęśliwy dla mnie przypadek. Jako jedyny cudzoziemiec mogłem każdej chwili wjechać na granicę- miałem stałą przepustkę wydaną mi przez dowódcę brygady pograniczników- ta rosyjska nazwa przyjęła się także w Polsce zamiast używanej dotychczas: wopiści.

Otrzymałem ją jeszcze za czasów ZSRR, kiedy przejście przez granicę było niezmiernie dokładnie pilnowane. Jadąc do Polski przejeżdżało się najpierw przez posterunek milicji, następnie przez posterunek pograniczników, w których to dwóch punktach dokładnie przeglądano dokumenty samochodu i osobiste. Śmiesznie, ale i groźnie wyglądało sprawdzanie tożsamości. Milicjant a po nim pogranicznik trzymał w ręku paszport z fotografią, przed nim stał na baczność jego właściciel. Sprawdzający kilkakrotnie, w szybkim tempie spoglądał na fotografię i twarz właściciela paszportu- fotografia twarz, fotografia twarz, fotografia twarz. Następnie po sprawdzeniu czy na następnym punkcie kontroli nie ma kolejki podnoszono szlaban. Tak docierało się do punktu odprawy celnej. Wjeżdżało się na stanowiska nad kanałem, do którego wchodził pogranicznik z lusterkiem na wysięgniku i latarką i dokładnie sprawdzał podwozie i jego zakamarki. W podręcznych schowkach na desce rozdzielczej uważnie czytał znajdujące się tam nawet skrawki papierów, czy notesy z adresami. A potem już tylko odprawa celna oparta na obszernej, szczegółowej deklaracji celnej pisanej przy wjeździe i wyjeździe. Przejazd przez most na Bugu i wreszcie można było ucałować ziemię ojczystą- Polsko jakaś ty wspaniała! Oczywiście prawie wszystko omijało mnie później- jechałem pasem dyplomatycznym, na początku z rozterkami pograniczników- numery samochodu dyplomatyczne, a paszport tylko służbowy. Co robić przepuścić czy nie?

A z przepustką było tak. Jakiś wąsaty praporszczyk (odpowiednio w Polsce jednogwiazdkowy chorąży, z których naśmiewano się, że nie wiadomo co to- już nie podoficer, ale jeszcze nie oficer) ze sprawdzających paszporty pograniczników sowieckich wypukał mnie z biura na ulicę (następny dowód, że byliśmy na podsłuchu) i dosłownie płacząc prosił mnie: pan ratuj, ja mam dzieci- zamkną mnie. Okazało się, że przepuścił kilka dni wstecz naszego kierowcę jadącego do Moskwy na paszport innego naszego kierowcy, które to paszporty zamieniono im przez pomyłkę podczas odprawy w Słubicach. Sprawa wyszła na jaw przy jego powrocie z Moskwy. Natychmiast zawieszono praporszczyka, a nieprzyjemności miałyby major kierownik zmiany i podpułkownik kierownik przejścia,

Poprosiłem poufnie pułkownika, szefa sztabu brygady, który stał o kilkanaście metrów od płaczącego praporszczyka, aby wstrzymali się ze wszystkim na cztery godziny. Przejechałem na polską stronę, zadzwoniłem do naszych kadr w Warszawie prosząc, aby natychmiast, gońcem, dostarczyli mi na granicę będący w depozycie drugi paszport zatrzymanego kierowcy. Odebrałem go od gońca, przewiozłem na stronę ZSRR, gdzie koledzy biednego pogranicznika wbili w paszport wcześniejszą datę wjazdu. Oficjalnie wyjaśniłem, że nasz kierowca miał paszport prawidłowo sprawdzony i ostemplowany przy wjeździe do ZSSR, a ten drugi, którym się przy powrocie pomyłkowo legitymował jest jego kolegi, który zachorował w Moskwie i paszport jest odwożony do organów paszportowych w Warszawie. Oczywiście wszyscy wiedzieli jak było faktycznie.

Kilka tygodni później zostałem poproszony do generała, dowódcy brygady pograniczników, który częstując tradycyjnym czajem w obecności szefa sztabu, wdał się ze mną w pogawędkę o niczym- typowy w Rosji sposób mający

doprowadzić do obowiązkowego rewanżu za wyświadczoną przysługę. A to bardzo dobrze, że takie przedstawicielstwo zostało powołane, a to, że z kierowcami polskimi dobrze się pracuje, bo są zdyscyplinowani i znają swoją robotę itd. itp. Nic nie wspominał o sprawie paszportu. Przy pożegnaniu zapytał czy mógłby być mi w czymś pomocny. Oczywiście wszystko było wcześniej uzgodnione. Poprosiłem o przepustkę do wjazdu na teren graniczny dla kontaktu z pracownikami „fitosanitarnymi”. Zwrócił się do szefa sztabu: wydać, a po chwili dodał: oficerską. A więc z zielonym paskiem, która upoważniała nie tylko do wejścia o każdej porze na teren graniczny Kazłowici, ale na każde przejście w obrębie działania brygady.

Dodatkowo uzyskałem przychylność i opinię „swojego chłopca” nie tylko u pograniczników, ale również celników i innych pracowników służb granicznych. Od tego czasu prawie wszyscy pracownicy przejścia granicznego w Kazłowiczach nie tylko mnie znali, ale i chętnie udzielali pomocy.

Kiedyś przyjechały do mnie dwie panie z naszej dyrekcji. Po pokazaniu im Brześcia i białoruskiej części puszczy Białowieskiej, postanowiłem urozmaicić im powrót do kraju w kabinie naszego samochodu ciężarowego, czego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyły. Załatwiłem pomyślnie tę sprawę z pogranicznikami i podwoziłem panie swoim samochodem na granicę. Po dojechaniu do bramy zobaczyłem stojących za bramą szeregiem po trzech pograniczników z każdej strony drogi- a w środku mojego praporszczyka. Praporszczyk otworzył bramę i gromko krzyknął: smiiiiirno (baczość). Przedefilowaliśmy na wesoło przed siedmioma salutującymi żołnierzami.

Moja przepustka była szczególnie przydatna w 6-ciu ostatnich latach mojego pobytu w Brześciu, kiedy rozpadł się ZSRR i powstały niepodległe państwa. Teraz wiele czasu zajmowało mi „przepychanie” przez granicę zwiększonej ilości naszych samochodów. Mogłem rzeczywiście sporo załatwić.

Oto trochę szczególnych przykładów. Po roku 1991, po stronie białoruskiej pracowały w jednym budynku obok siebie trzy urzędy celne: Polski, Białoruski i Rosyjski. Każdy z nich miał inne przepisy i wymagania odnośnie dokumentacji, które na dodatek, co chwila się zmieniały. „Prosiłem” np. pracowników inspekcji fitosanitarnej pracujących przy urzędach celnych o przepuszczenie zatrzymywanych przez nich samochodów, zastępując „nieznających się na rzeczy” kierowców, którzy nie zostawiali pracownikom inspekcji fitosanitarnej skrzynki jabłek czy „cwiernajej kapusty” (kałafiory dotąd w Rosji nieznanie) - „potrzebnych im do badań”- swoista łapówka. Samochód wiozący urządzenia medyczne, niezgodnie z konwencją TIR o wartości ponad 2.000.000 DM, został zatrzymany przez celników rosyjskich. Poszedł ze mną do nich kierownik białoruskiego urzędu celnego i powiedział: „Kaładiejczyku nie przepuścicie tego samochodu?” I przepuścili. Po wydaniu nowych przepisów, że rosyjski importer musi mieć zezwolenie ministerstwa w Moskwie na każdy sprowadzany do Rosji kg mięsa (patrz wyżej- od czasów carskich tego rodzaju limity i koncesje wydaje się po to, aby mogli coś zarobić również i urzędnicy ministerstwa), zostało na granicy zatrzymanych ponad 20 naszych chłodzi z mięsem. Daliśmy radę i temu. Samochód, który stał w Bobrownikach 3 miesiące i tamtejsi celnicy Białoruscy nie chcieli go przepuścić kazałem skierować do Brześcia, został odprawiony w ciągu godziny.

Takich interwencji było bardzo dużo- celnicy czy fitosanitarni, którzy nie mogli dogadać się z kierowcami doradzili im, aby dzwonili po mnie. Przyjeżdżałem na granicę wyjaśnić sprawę, lub w razie potrzeby ścigałem z



Warszawy dodatkowe dokumenty. Oczywiście nie wszystko i nie zawsze kończyło się sukcesem.

Najbardziej uciążliwa była jednak współpraca z urzędami celnymi w miejscu odbioru towarów. Kierowcy nie wiedzieli jak niektóre sprawy załatwić i prosili mnie o przyjazd. Inaczej niż w naszych przedstawicielstwach w państwach zachodnich, gdzie w warunkach stabilnych przepisów i procedur często wystarczył telefon a sprawa łapówek była nieznana.

Czasami wezwania dotyczyły innych spraw np. cięcie plandek i kradzieże, dochodzenia milicyjne, wypadki drogowe, choroby kierowców- żądano przyjazdu przedstawiciela przewoźnika. Nie wysiadałem z samochodu- wystarczy powiedzieć, że w ciągu 11 lat przejechałem samochodem Volvo około 170.000 (+ Polonezem?) kilometrów po drogach ekspresowych, pierwszej i drugiej kategorii, a nieraz i polnych. Pozwoliło mi to jednak na poznanie tych terenów i rozmowy z setkami ludzi: od sprzątaczek do ministrów. Z celnikami, pogranicznikami, pracownikami milicji i służby zdrowia, spedytorami, pracownikami recepcji w hotelach, mechanikami samochodowymi i ładownicami, dyrektorami i właścicielami różnych firm powstałych po 1991 roku (nieraz o podejrzanych interesach), z urzędnikami rozbudowanej, ale sprawniejszej niż w Polsce administracji, kelnerami i pijakami w restauracjach, dziennikarzami i zwykłymi mieszkańcami wsi i miast.

Z ludźmi, których mentalność oparta jest na trzech filarach:

1-szy na religii prawosławnej przyjętej z Bizancjum, która przez 1.000 lat ukształtowała mentalność Rosjan, Białorusinów i Ukraińców, ale także opanowała podświadomie poczynania niewierzących, w tym Stalina. Polega ona na przekonaniu, że Rosja to „Trzeci Rzym”. Według nich po upadku Rzymu właściwą władzę cesarską i strażnika religii chrześcijańskiej przejęło na kilkaset lat Bizancjum. Po upadku Bizancjum misję zbawienia świata odziedziczyła Rosja. Stąd m.in. ich mistycyzm, duma i przekonanie o wyjątkowości swojego narodu.

Dla prawosławnych jedno z najważniejszych nakazów to słowa Jezusa do apostołów: idźcie i nauczajcie. Do wszystkich apostołów jednakowo. Nikogo nie wyróżnił Jezus, jako ich przełożonego. Bo słowa „ty będziesz opoką” nie oznaczają, że Piotr otrzymał zwierzchność nad innymi apostołami, ani tym bardziej, że reprezentuje Chrystusa na ziemi. Następcy Piotra w Rzymie wzięli szybko przykład z cezara i senatorów rzymskich. Papież jest jak cesarz absolutnym jedynowładcą całego świata katolickiego, a kardynałowie jak rzymscy senatorowie. Nie wystarczyła im biblia- wprowadzili w życie katechizm gruby jak biblia, pełen kategoriycznych nakazów i zakazów.

W prawosławiu nie ma czegoś, co nazywa się papiestwem. Żaden biskup, metropolita czy patriarcha prawosławny nie jest przez nikogo mianowany- jest wybierany, tak jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa przez odpowiednie synody wiernych. Prawosławie oparte jest również na bezpośrednim, indywidualnym kontakcie wyznawcy z księdzem „ojcem duchownym”, „batuszką” (ojczulkiem). Przyniosło to nie tylko bliskość i pewną poufałość stosunku do księży, ale i do władzy świeckiej. Nawet do Putina nie mówi się: gaspadin prezydent, tylko Władimirze Władimirowiczu. Słowo pan znane tylko w Polsce i w Czechosłowacji Rosjanie używają szyderczo: paliaki eto wsie pany. Pan pochodzi z języka tureckiego- ban, tak jak i inne słowa np. ułan czy lanca.

Dla porządku- nie są to moje poglądy, lecz dość prymitywne opisanie prawosławia.

2-gi. Odziedziczona po Bizancjum symbioza władzy państwowej z cerkiewną- car (prezydent) popiera cerkiew, cerkiew popiera cara (prezydenta). (Stalin i świecka religia-marksizm). Demokracja bizantyjska była specyficzna, odmienna od naszej- uznawała kolektyw przed jednostką i cesarza, jako ucieleśnienie najwyższego kolektywu- narodu. Ta ideologia została przeniesiona z Bizancjum do Rosji. Jednostka ma służyć kolektywowi, poświęcić się dla kolektywu. Stąd nie mogą Rosjanie i ich pobratymcy pojąć, że dla nas wyrosłych w kulturze śródziemnomorskiej Grecji i Rzymu, najważniejsza jest jednostka i jej prawa, że ciągle mówimy o prawach człowieka. Pamiętam, jakie wrażenie-zdziwienie i gromki śmiech zrobiło w rosyjskiej telewizji podanie się do dymisji ministra spraw wewnętrznych Niemiec, gdy podległy mu policjant zastrzelił w pościgu terrorystę z Czerwonych Brygad. Jak to? Terrorystę nie trzeba ścigać tylko od razu zastrzelić i to bez sądu, przecież on zagraża najwyższemu kolektywowi, społeczeństwu. Jak durny i zgniły zachód tego nie rozumie? Stąd już jeden krok do przekonania niektórych, że jeżeli Stalin wymordował ileś tam ludzi, to widocznie tak musiał zrobić dla dobra najważniejszego kolektywu: państwa- ZSRR.

Rosjanie są przekonani, że ich forma państwowości jest najlepsza na świecie i dziwią się, że świat nie może tego pojąć. Dowód? 80% obywateli, bez oszustwa głosuje na Putina, gdyż reprezentuje on model państwa, do jakiego od tysiąca lat przywykli jego rodacy. Jest swój- na wskroś Ruski. Rosjanin to obywatel Rosyjskiej Federacji, a więc także ludzie różnych narodowości. Ruski to etniczny obywatel dawnej Rusi.

3-ci filar najlepiej obrazuje anegdota: jest rok 1944. W gabinecie Stalina trwa narada o podziale Niemiec. Jeden z uczestników mówi: tawarysz Stalin nużno dać Polszy kusok siewierno- wastocznej germanii (towarzyszu Stalin trzeba dać Polsce kawałek północno- wschodnich Niemiec. (Dzisiejsze Mazury). Stalin podchodzi do biurka, na którym leży rozłożona mapa Europy i oparłszy na niej szeroko rozstawione palce pochyla się. Patrzy, patrzy, patrzy i w końcu mówi: a gdzież ana, eta Polsza (gdzie ta Polska?). Podbiega adiutant, przesuwa wielki palec Stalina o kilka centymetrów i mówi: zdieś ana (tutaj). Całą Polskę przykrywał jeden kciuk Stalina. Śpiewa się tam o Rosjii: Maguczaja strana- potężny olbrzymi kraj!

Kiedyś w Moskwie jakiś Ruski nacjonalista, a jestem pewien, że powtórzyłoby to za nim wielu Ruskich powiedział mi: gdyby Rosję wyobrażał mężczyzna mierzący 180 cm, to Polskę krasnoludek o wysokości 3, 5 cm. Oficerów polskich nie wymordowali Ruscy tylko Gruzini- Stalin i Beria. A wiesz ilu jeńców radzieckich wymordowali Niemcy? Odpowiadam: wiem z procesu norymberskiego- trzy i pół miliona. No widzisz- trzy i pół miliona a ty mówisz o jakichś 22 tysiącach Polaków. I tak się kończą rozmowy z „ruskim czelawikiem”.

Rosja jedynie USA uważa za równe sobie państwo, za drugą kategorię krajów Chiny, Niemcy, Francję i Wielką Brytanię, a Polskę traktuje tak, jak pozostałe państwa świata, a często gorzej. Jeśli na środku ruchliwej moskiewskiej ulicy siedziałby jakiś człowiek i np. pił wódkę jestem pewien, że wielu przechodni powiedziałoby: pewnie palaczok- to nieodpowiedzialni ludzie po nich wszystkiego można się spodziewać. Tak też najczęściej przedstawiani są Polacy w książkach nawiąbitniejszych rosyjskich starych i nowych pisarzy.

Inna „mądrość”- co robi Polska mysz? Wypija setę, wychodzi do pokoju i woła: gdzie ten kot! Dawajcie mi tego kota!

Moje wrażenia ze spotkań z setkami ludzi, Rosjan, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, to inna opowieść- zaręczam, że arcyciekawa szczególnie dla nas, którzy mają o Rosji i pozostałych krajach tego obszaru wciąż swoje stare utarte stereotypy, często nieraz bardzo odbiegające od rzeczywistości. Nieporównanie lepiej znają ich Niemcy, czy Francuzi.

A także o mieszkających tam Polakach. Np. o białoruskiej Polonii, gdzie żrą się o to, która z frakcji ma rządzić. Gdy sąd rozstrzygnął sprawę, że ta najbardziej liczna z b. terenów wileńsko-nowogródzkich, to pozostałe, szczególnie grodzieńska, oskarżała Łukaszenkę o prześladowanie. A litewska ze swoimi frakcjami?

W 1991 roku po rozpadzie ZSRR i powstaniu niepodległej Białorusi chodząca od mieszkania do mieszkania rozradowana delegacja powiadomiła mnie, że automatycznie zostałem obywatelem Białorusi. Dopiero po kilku miesiącach na skutek moich poczynań poinformowano mnie, że nie było automatu tylko możliwość wyboru. Były takie wybory. Ksiądz Władysław Blin z diecezji Włocławskiej, pracujący w Mohylowie, którego do mnie skierował przyjaciel z Ciechocinka i któremu przez lata często załatwiałem różne sprawy w kraju, przyjął, zapewne za wiedzą i akceptacją wysokich władz kościelnych, obywatelstwo białoruskie i niebawem został biskupem w Witebsku. Był do przyjęcia dla miejscowych władz- biskup Białorusin, a nie Polak. Przesłał mi, będącemu już w Warszawie, zaproszenie na ingres.

Po rozwiązaniu ZSRR, bez zmiany obywatelstwa też wypracowałem tam sobie jakąś pozycję. W lokalu używanym mi przez zaprzyjaźnionego dyrektora Parku Białowieskiego urządziłem przyjęcia np. urodzinowe. Przyjeżdżało na nie spore grono prominentnymi pracownikami służb celnych i pogranicznych. Przyjęcia były huczne, gdyż z moimi poborami można było czuć się tam milionerem. Dyrektor SOVTRANSAVTO zarabiał 130 rubli, wiceminister 250, minister 300, a ja ponad 600. Było, za co organizować przyjęcia. Swoją drogą, gdy przyjeżdżało się do Polski z tymi sześciuset rublami były to pobory tylko trochę wyższe niż przeciętna krajowa. Na prawdziwe pieniądze czekałem kilku lat.

Z Białorusi nie było na zachód żadnych ładunków, gdyż Białoruś, tak jak Litwa, Łotwa a także środkowa i zachodnia Ukraina, wyznaczona była przez władze w Moskwie, do produkcji żywności dla całego ZSRR.

Natomiast ogromnie wzrosła ilość rozwożonych przez nas po Europie kontenerów, ładowanych teraz na nowym terminalu w Brześciu. Zaczynając od przydzielonych 120 sztuk rocznie w chwili mojego przyjazdu, doszliśmy do około 5.000, czyli prawie wszystkie, jakie nadchodziły. Zastosowałem trik, którego nauczyłem się używać jeszcze w połowie lat 50-tych XX wieku podczas mojej pracy, jako kierownika placówki PKS w Rabce Zdroju. Jeżeli czegoś nie możesz rozwiązać oficjalnie zostaw sprawę kierowcom- oni rozwiążą ją w mig we „współpracy”, np. z pracownikami konterowego terminalu. Ku oburzeniu Sovtransavto wypchaliśmy ich z tych przewozów, co gorsza zostali z 40 kupionymi podwoziami kontenerowymi bez pracy dla nich.

Potem, w latach dziewięćdziesiątych, gwałtownie załamały się przewozy na kolejach rosyjskich. Kolej rosyjska zrobiła wtedy ten sam błąd, jaki robiła i PKP. Zamiast redukować koszty zaczęła podnosić stawki, co w prostej drodze powodowało zmniejszanie się masy towarowej zlecanej jej do przewozu.

Japonia i Korea Południowa wycofały się z przewozów kontenerów do Europy koleją transsyberyjską. Dzisiaj kontenery nawet z ładunkami dla firm rosyjskich są przywożone drogą morską do Rotterdamu, a potem transportem samochodowych są dostarczane do Moskwy. Teraz spedytorzy rosyjscy chcą przywrócić przewozy kontenerów linią transsyberyjską, ale to im się nie udaje, gdyż w międzyczasie przewoźnicy morscy pobudowali tak potężne kontenerowce, że kolejowe frachty nie są niższe niż morzem.

Nową działalnością było ładowanie przez pana Piotra Krawieckiego, naszego przedstawiciela w Bagdadzie, powracających pusto samochodów papierosami do Rosji i Białorusi, którymi Irak spłacał swoje zadłużenie. Odprawy celne i rozładunek papierosów odbywał się w Brześciu. Było to bardzo uciążliwe, gdyż prawie zawsze ilości papierosów była nieznacznie, ale mniejsza niż w dokumentach. Kto dokonywał przewozów przez kraje muzułmańskie takich atrakcyjnych towarów jak papierosy ten wie, że niewielka ilość może być zabierana, w formie bakczyszu. Eksporterzy polscy przy przewozie np. słodyczy na Bliski Wschód zawsze dodawali małe ich ilości ponad uwidocznioną w liście przewozowym wielkość.

Po zakończeniu pracy przez moich współpracowników sukcesywnie oddawałem ich mieszkania, a w ostatnich latach, kiedy przewozy samochodowe coraz bardziej się „cywilizowały”, zlikwidowałem nawet pomieszczenia biurowe, zostałem sam i wszystkie środki łączności przenieśliśmy do mojego dość obszernego mieszkania.

Praca moja w Brześciu zakończyła się gwałtownie. Pewnego wieczoru usłyszałem w telefonie: nigdzie nie wychodź z domu, a jeśli wyjdiesz „my ciebie ubieriom” (sprzątniemy). Po tym telefonie błyskawicznie, chyłkiem, nie zbliżając się nawet do mojego samochodu stojącego przed domem uciekłem na pobliski posterunek milicji skąd odwieziono mnie na komendę miasta. Tam dyżurny oficer kazał mi przesiedzieć z nim całą noc i powiedział, że ostatnio mieli już kilka takich przypadków. Do pracujących teraz w Brześciu obcokrajowców przychodzili nocą goście, którzy delikwentowi wyliczali ile lat w Brześciu przepracował, ile pieniędzy zarobił i ile musi im oddać. Nazajutrz zadzwoniłem do znajomej firmy ochroniarskiej, która dała mi dwu uzbrojonych ludzi, spakowałem podstawowe rzeczy, napisałem akt darowizny wszystkich pozostawionych rzeczy w tym mebli dla domu dziecka w Berezie Kartuskiej i pojechałem do Warszawy. Ponieważ pracowałem już tylko sam a sprawy na granicy coraz bardziej się normowały, postanowiono nie wysłać innego pracownika, lecz zawiesić czasowo działalność przedstawicielstwa.

Po 49 latach studiów i pracy przeszedłem na tzw. zasłużony odpoczynek.